ESEJ

DOI: 10.14746/sh.2014.17.4.014

Sensus Historiae
ISSN 2082–0860
Vol. XVII (2014/4)
s. 237-261

Marcin Kula
Emerytowany Profesor Uniwersytetu Warszawskiego

# Mięknąca dyktatura i twardniejący opór

Komunizm panował w Polsce w latach 1944/45–1989. Oczywiście, wszystkie elementy tego zdania można by komentować. Słowo 'komunizm' zostało w nim użyte jako równoznacznik władzy komunistów, nie zaś jako definicja ustroju. Formalnie nigdy nie zadekretowano tu wprowadzenia ustroju komunistycznego, zresztą przez samych komunistów słabo zdefiniowanego. Nominalnie w Polsce panował ustrój „demokracji ludowej", która to nazwa została użyta dla uspokojenia ludzi (demokracja), a zarazem dla podkreślenia ustrojowej specyfiki kraju rządzonego przez partię komunistyczną (demokracja ludowa). Zbyteczne dodawać, że oba człony tej nazwy nie były adekwatne do rzeczywistości. Data początkowa nastania ustroju była różna w zależności od regionu, z którego Sowieci wypierali okupantów niemieckich. Proces komunizacji (stalinizacji) kraju dokonywał się potem stopniowo, osiągając pełnię na przełomie lat 40. i 50. XX w. Rok 1989 przyjmowany jest jako koniec ustroju z uwagi na pierwsze po wojnie wybory, odbyte w czerwcu tego roku, w których partia komunistyczna (formalnie: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, PZPR) przegrała oraz ze względu na powstanie pierwszego rządu niekomunistycznego. Niektórzy Polacy przywiązują jednak wagę do momentu późniejszego, gdy Lech Wałęsa został prezydentem (grudzień 1990) — a jeszcze inni uważają, że Polska wciąż, do dziś, nie odeszła całkowicie od komunizmu, co jest bezsensem.

Celem niniejszego artykułu jest rozważenie, jakimi instrumentami posługiwali się komuniści dla umocnienia swojej władzy oraz czynników, które ich osłabiały. Paralelnie zostaną pokazane czynniki, które wzmacniały lub osłabiały kierunki im przeciwne.

Podstawowym czynnikiem przesądzającym zaistnienie i trwanie władzy komunistów była siła ZSRR. Oczywiście, nie było to tak, jak chciałoby dziś

wielu Polaków, ażeby Moskwa nie napotkała w Polsce żadnego wsparcia, zaś komuniści trzymali się tu wyłącznie jako agentura Moskwy. Niemniej polski ruch komunistyczny był przed II wojną światową słaby — zapewne z uwagi na zadawnione konflikty z Rosją, ze względu na polsko-bolszewicką wojnę 1920 r., na narodowe nastawienie społeczeństwa polskiego itd. Na dodatek Stalin w ramach swojej polityki zniszczył Komunistyczną Partię Polski (1938). Potem ją odtworzył podczas wojny, gdy zorientował się, że komuniści w Polsce będą mu potrzebni — ale podstawowym czynnikiem wprowadzenia nowego ustroju było wejście Armii Radzieckiej w walce z Hitlerem na ziemie polskie i podział geopolityczny ustanowiony pomiędzy mocarstwami. Armia Radziecka pozostała w Polsce do końca komunizmu (faktycznie do 1993 r.). Wszyscy zresztą w Polsce wiedzieli, że świat jest podzielony na bloki. Pamiętano o tym nawet po tym, gdy bardzo widoczna w latach stalinowskich bezpośrednia obecność Rosjan we władzach w Polsce ustała, zaś pozycja ambasadora ZSRR została zawoalowana. Wszyscy wiedzieli, że bunt antykomunistyczny w Polsce najprawdopodobniej zakończy się interwencją radziecką, na podobieństwo interwencji na Węgrzech w 1956 r., czy w Czechosłowacji w 1968 r. (do tej ostatniej sam Władysław Gomułka zresztą parł, a Wojsko Polskie wzięło w niej udział jako jedna z armii Układu Warszawskiego).

Stąd nawet w ruchach buntowniczych w Polsce, o których niżej, uważano, by nie przekraczać bezpiecznych granic buntu, tak by nie drażnić „niedźwiedzia" (jak mówiono o ZSRR). Potężny sąsiad nie omieszkiwał zresztą przypominać, zwłaszcza w 1956 r. i w latach 1980–1981 r., że może zadziałać militarnie. Z kolei polskie władze komunistyczne przypominały, że tylko one mogą być akceptowane przez ZSRR, a w konkretnych sytuacjach straszyły groźbą, może zresztą realną, interwencji radzieckiej (w terminologii systemu: „okazaniem bratniej pomocy"). Generał Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny w grudniu 1981 r., przedstawiał swe posunięcie jako ratowanie Polski przed akcją Wielkiego Brata. Czynił to w sposób nieco zawoalowany, ale całkowicie czytelny. W swoim podstawowym przemówieniu, gdy ogłaszał wprowadzenie stanu wojennego rankiem 13 grudnia 1981 r., mówił tylko o narodzie — jak gdyby komunizm, który on sam uosabiał, nie istniał.

Czasem obawa przed ZSRR, a w szczególności obawa, że Wielki Brat poprze w Polsce dojście jeszcze gorszych ludzi do władzy, mogła nawet sprzyjać komunistycznym rządom w Polsce, podobnie jak okresowo mogła im służyć świadomość, że w innych krajach komunistycznych jest jeszcze gorzej i nie należy narazić tego, co mamy. Istniało tu przeświadczenie, że łatwo można dużo stracić — zarówno indywidualnie, jako kraj, czy jako poszczególne środowiska zawodowe. Władze zresztą po cichu wykorzystywały argument, że tu może być znacznie gorzej. Nieraz pokazywały się jako te, które chcą

lepiej, a nie mogą, oraz jako takie, za których plecami czają się jeszcze gorsi i bardziej promoskiewscy. Co ciekawe i z czego większość Polaków na ogół nie zdawała sobie sprawy, sama elita komunistyczna w swej znaczącej części na ogół bała się Sowietów, zaś kolejne pokolenia ludzi przychodzących do partii komunistycznej nie kochały ich, podobnie jak większość narodu; co najwyżej tłumaczyły sobie związek z Rosją koniecznościami geopolitycznymi. Alternatywy ustrojowej w podzielonym świecie praktycznie nie było, co przemawiało za poddaniem się funkcjonowaniu ustroju, a przynajmniej niekontestowaniu go w kategoriach zasadniczych. O porozumienie komunistów z narodem na tle antyrosyjskim było jednak trudno, gdyż związek z ZSRR był zasadniczy dla władzy komunistów. Raz takie porozumienie zarysowało się — przy objęciu przez Władysława Gomułkę stanowiska szefa partii komunistycznej w 1956 r., co nastąpiło na fali wyzwolonej, stosunkowo powszechnej niechęci do ZSRR. Sam Gomułka był tym jednak wówczas zaniepokojony i skutecznie postarał się wyciszyć akcenty antyradzieckie. Nie mógł i nie chciał na nie pozwolić. W sumie to, co było źródłem siły komunistów — oparcie w ZSRR — było też źródłem ich słabości jako podminowujące ich podstawową legitymację, którą ma władza wyłoniona przez własny naród. Radzieckie wsparcie (a w gruncie rzeczy radziecka gwarancja) czyniło sytuację polskich komunistów znacznie gorszą od pozycji komunistów radzieckich, a także jugosłowiańskich, albańskich, czechosłowackich, czy z czasem kubańskich, w których to krajach swego czasu zwyciężyły miejscowe rewolucje lub przynajmniej działały silne ruchy komunistyczne.

Czynnikiem umacniającym komunistów był strach przed Niemcami. Cała propaganda, głosząca, że nowe ziemie na zachodzie Polski są historycznie polskie (nazywano je „odzyskanymi"), nie mogła wyeliminować obawy, że przy pierwszej sposobności Niemcy mogą zechcieć je odzyskać. Ludzie, których tam sprowadzono z ziem utraconych na rzecz ZSRR, bądź przybyli z Polski centralnej, zajmujący miejsce Niemców usuniętych z nowych polskich granic, przez długi czas nie mieli poczucia stabilizacji. Ulubionym argumentem komunistów była teza, że tylko ZSRR (a więc i oni sami jako jedyni możliwi partnerzy ZSRR) chroni nowe granice zachodnie. Komuniści zresztą autentycznie bali się Niemiec oraz, paradoksalnie, porozumienia ZSRR z Niemcami ponad głową Polski (w 1968 r. bali się też porozumienia się Czechosłowacji z RFN). Obawy umacniało faktyczne istnienie w Republice Federalnej tendencji zmierzających do odzyskania ziem utraconych. Niezależnie od własnego strachu używali jednak argumentu granic socjotechnicznie. Bardzo długo sabotowali szanse ewentualnego porozumienia z Niemcami. List biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r., wzywający do pojednania polsko-niemieckiego, był im bardzo nie na rękę. Jednak podpisanie ostatecznie przez same polskie władze komunistyczne

układu, w którym RFN uznała polską granicę zachodnią (1970), mogło mieć pozytywne skutki z punktu widzenia ich legitymacji: mogło umocnić ich osadzenie w społeczeństwie jako służących narodowi. Krwawo stłumione demonstracje, które wkrótce po tym fakcie wybuchły w miastach Wybrzeża, zmniejszyły jednak ten potencjalnie pozytywny dla władz efekt. Po prostu dyskredytacja na polu wewnętrznym mocno przeważyła wszystko inne.

Czynnikiem przynajmniej ułatwiającym zainstalowanie władzy komunistycznej, ale przez długi czas także jej trwanie, był stan, w jakim społeczeństwo polskie wyszło z wojny. Kiedyś ten czynnik może przestał działać, ale póki co najpewniej działał. Kraj był zniszczony i trzeba było go odbudować. Potrzebna była władza, która zapewni odbudowę — a władza komunistyczna uczyniła z odbudowy jedno z podstawowych haseł. Elity kraju były zniszczone bądź znalazły się na emigracji. Społeczeństwo było zdezorganizowane zarówno z powodu wojennej hekatomby, jak z powodu wielkich migracji wywołanych zmianą granic oraz, później, prowadzoną przez komunistów industrializacją. Łatwiej było *summa summarum* rządzić krajem, w którym ogromna część ludności przestała mieszkać w swoich miejscowościach rodzinnych, a niektórzy zostali zupełnie wykorzenieni na skutek przeniesienia o kilkaset kilometrów ze wschodu na zachód, niż gdyby to była ludność ustabilizowana, ale niechętna nowemu ustrojowi.

Komunistom sprzyjała okoliczność, że dla wielu Polaków zaraz po wojnie było oczywiste, że trzeba odbudować kraj jako odmienny niż przed wojną. W całej Europie istniała wówczas świadomość potrzeby zmian, wręcz zwrotu ku lewicy. Komuniści w Polsce dopasowywali się do tego myślenia. Co paradoksalne, mogli też w jakimś stopniu wpasować się w tory myślenia części prawicy, która chciała państwa jednolitego etnicznie — a to dlatego, że kraj wyszedł z wojny prawie bez mniejszości narodowych. Przed wojną liczyły one około 1/3 ludności. Tymczasem na skutek powojennej zmiany granic mniejszości chrześcijańskie (Ukraińcy, Białorusini, Litwini) pozostały za granicą ZSRR, podczas gdy mniejszość żydowska w większości została zniszczona w Holokauście. Mniejszość niemiecka albo uciekła pod koniec wojny, albo została usunięta wraz z Niemcami, którzy znaleźli się w Polsce po zmianie granicy zachodniej. W ten sposób nominalnie internacjonalistyczni komuniści stali się nosicielami nacjonalistycznej idei państwa jednonarodowego. Dopomogli zresztą w jej realizacji, czy to z biegiem czasu dopuszczając, a nawet wspomagając emigrację pozostałych ludzi niemieckiego pochodzenia, czy też sprzyjając emigracji żydowskiej, nawet wręcz ją wywołując (1968). W ten sposób sytuacja narodowościowa była w Polsce bardzo odmienna niż w ZSRR, Jugosławii, czy, powiedzmy, Czechosłowacji — gdzie sprzeciw wobec komunizmu, a potem jego upadek, łączyły się z fundamentalnym nabrzmieniem wewnętrznych tarć etnicznych. W Polsce

istotną sprawą narodową był sprzeciw wobec zewnętrznej dominacji obcego państwa i wobec władz PRL — ten ostatni o tyle mieszczący się w buncie narodowym, że znaczna część opinii zdefiniowała owe władze jako obce, choćby z uwagi na ich powiązania z ZSRR. Część opinii — trudno powiedzieć jak duża — definiowała też władzę komunistyczną, a przynajmniej jej siły represyjne, jako „żydokomunę".

Dla wzmocnienia swojej władzy komuniści dążyli do całkowitej atomizacji społeczeństwa. Niepokój i przeciwdziałanie z ich strony wzbudzało wszelkie skupianie się ludzi, nawet w sprawach odległych od polityki. Znacznie większe zdenerwowanie władz wywoływało jakiekolwiek wspólne wystąpienie ludzi w dowolnej sprawie, niżby wywołały indywidualne wystąpienia tych samych ludzi w tej samej sprawie. W dziele atomizowania społeczeństwa stosowano różne metody. Najprostszym działaniem była likwidacja istniejących organizacji lub/i niedopuszczanie do powstawania nowych. Często stosowano łączenie organizacji pracujących na jednym bądź bliskich polach, także w tych samych środowiskach, w jedną organizację, nad którą łatwiej było panować. Czasem powoływano jakąś radę, która miała „koordynować" działania bliskich sobie organizacji. Ideałem było, ażeby w każdym środowisku i w każdym zakresie spraw działała tylko jedna, najczęściej ogólnokrajowa organizacja. Na przykład w każdej branży miał działać jeden związek zawodowy, obejmujący wszystkie instytucje danej branży, do którego mieli należeć wszyscy jej pracownicy niezależnie od specjalności, szczebla służbowego oraz różnic realnych interesów; wszystkie zaś związki zawodowe w kraju zjednoczono w jednej centrali. Miała istnieć jedna organizacja młodzieżowa, do której włączono nawet tradycyjnie w Polsce silny skauting — zresztą po radykalnym zreformowaniu go. Dbano też o obsadzenie stanowisk w istniejących organizacjach przez dostateczną liczbę członków partii komunistycznej, by każdą z nich ubezwłasnowolnić.

Prawda, że referowane działania pozostawiały pewne marginesy, zwłaszcza po destalinizacji w 1956 r. Stowarzyszenia twórcze czy samorząd akademicki zachowały jednak pewną, bardzo zresztą limitowaną samodzielność. Prawda też, że monopolistyczna organizacja młodzieżowa rozpadła się w 1956 r. Wówczas władze, które w momencie destalinizacji musiały coś spisać na straty, zaakceptowały powstanie kilku organizacji młodzieżowych. Mimo że starannie je nadzorowały, z czasem zrobiły dużo, by doprowadzić do ponownego ich połączenia się (zresztą bez pełnego skutku). W niektórych organizacjach, pracujących jak najbardziej pod szyldem komunistycznym, wytworzyły się mniej zideologizowane nisze, gdzie ludzie dalecy od komunizmu podtrzymywali aktywność neutralną ideologicznie, choć generalnie oczywiście też nadzorowaną (organizacja kombatancka czy turystyczna). Szyld zawsze był jednak bardzo ważny, wręcz zdumiewająco

ważny — co chyba tłumaczy się podobieństwem struktury komunistycznej do struktury religijnej.

Paradoksalnie działania komunizmu w kierunku atomizacji społeczeństwa miewały skutki odwrotne. W obliczu różnych trudności ludzie nieraz zbliżali się w płaszczyźnie kontaktów prywatnych. Ciekawe, że ruch buntowniczy z 1980 r. przyjął dla powstającej organizacji nazwę „Solidarność", świadomie wyrażającej m.in. sprzeciw wobec komunistycznej polityki atomizacji społeczeństwa. Prawda, że potwierdzała się też wtedy marksowska obserwacja, iż reżim pracy fabrycznej łączył ludzi — i to łączył przeciw właścicielom (tu: dysponentom) środków produkcji. Prawda też, że w latach 1980–1981 łączyła ludzi także świadomość wspólnego wroga — sił komunistycznych, który wróg w ramach logiki walki został zdefiniowany w potocznym myśleniu jako w każdym aspekcie przeciwstawny „Solidarności".

Z czasem na zjednoczenie ludzi (przeciwstawne atomizacji) silnie wpłynęło wprowadzenie przez gen. Jaruzelskiego stanu wojennego, szeroko postrzeganego jako uderzenie przeciw całemu narodowi i wprowadzonego na życzenie Moskwy — mimo sugestii generała o polskim charakterze decyzji i autonomicznym jej podjęciu. Narodową poetykę przyjmowały wówczas nawet protesty, zdawałoby się, ekonomiczne — jak np. marsze głodowe kobiet w Łodzi w 1981 r. (demonstracje kobiet zatrudnionych w tamtejszych zakładach włókienniczych, które po wyjściu z pracy nie mogły kupić już praktycznie żadnych produktów spożywczych w pustych sklepach). Braki towarów powszechnego użytku najpierw tłumaczono sobie dostarczaniem ich do ZSRR. W Polsce, jak z grubsza w całym obozie komunistycznym, z Kubą włącznie (!), ludzie powtarzali, że ZSRR eksploatuje ich kraje, zaś w ZSRR funkcjonowała koncepcja, że żyje się trudno, ponieważ trzeba pomagać połowie świata. U schyłku 1981 r. pojawiła się z kolei w Polsce wizja, że władze chcą wygłodzić naród, jakoby celowo przetrzymując zapasy żywności w magazynach. Po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. ta wizja uzyskała wzmocnienie o tyle, że w ramach pragmatyki operacji polityczno-wojskowej władze zadbały oczywiście, by choć na jakiś czas zaopatrzenie się poprawiło; ludzie rozumowali więc, że zapasy musiały gdzieś istnieć.

Społeczeństwo, w ideologicznym stanie sprowadzone do postaci piasku, miało być rozmieszczone w formach związanych z komunistyczną strukturą. Jej podstawą był zakład pracy, spełniający funkcje nie tylko produkcyjne, ale też społeczne wobec załogi. Były one mniej zaakcentowane niż np. w NRD, ale istniały. Wyżej wspomniane, najczęściej ogólnokrajowe organizacje, miały służyć transmisji pomiędzy poziomem partii/państwa a poziomem pojedynczych ludzi; w koncepcji ustroju częściej zresztą z góry na dół niż odwrotnie. Nad wszystkim, co funkcjonowało w kraju w życiu społecznym i politycznym, rozciągnięto organizacyjny parasol niby-organi-

zacji typu frontu narodowego. Zmieniała ona z biegiem czasu nazwę, ale nie charakter. Teoretycznie ożywiała się w momentach „wyborów", gdyż teoretycznie to ona ustalała listy „kandydatów". Nawet gen. Jaruzelski, który po wprowadzeniu stanu wojennego deklarował chęć zreformowania ustroju, nie mógł się widać obejść bez takiej czapkowej organizacji, która dosłownie niczemu nie służyła, zaś stała się przedmiotem niewybrednych żartów. Skądinąd zawsze w okresie komunizmu zachęcano ludzi do zwracania się do władz bezpośrednio, poprzez listy do instytucji partyjnych i państwowych, do gazet, do radia. Rzeczywiście mnóstwo takich listów napływało, nieraz zdumiewająco szczerych. Czasem były one pisane w celu załatwienia własnych spraw, czasem jednak dotyczyły problematyki ogólnej.

Społeczeństwo miało być zorganizowane nade wszystko przez partię komunistyczną. Ona winna była nad wszystkim panować, wszystkim kierować i w tym sensie stanowić społeczny kręgosłup. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Wszystkie partie komunistyczne, a zwłaszcza te u władzy, zawsze wahały się pomiędzy modelem organizacji kadrowej oraz modelem organizacji masowej. Partia komunistyczna w Polsce za czasów Edwarda Gierka (lata 70. XX w.) osiągnęła liczebność (czyt.: dopuszczono, by osiągnęła liczebność... spowodowano, by osiągnęła liczebność...) ponad 3 mln członków. Stanowiło to znaczną część aktywnej zawodowo ludności miejskiej (na wsiach prawie nie rekrutowano członków partii). Można oczywiście domniemywać, że znaczna część ludzi wstąpiła dla motywacji innej niż ideologiczna. Jako prości członkowie partii nie mieli oni większego znaczenia — bowiem naprawdę rządził aparat partyjny. Niemniej, zwłaszcza na skutek liczebności, owa partia, mająca obejmować w ramy i organizować naród, trochę się w nim rozpływała. Gdy powstała „Solidarność", wstąpiło do niej około miliona członków PZPR. Prawda, że niektórzy mogli wstąpić na polecenie partyjne (w nadziei uzyskania wpływu na nowo powstały ruch), a niektórzy nie przewidując, jak sprzeczne będą to organizacje.

W kierunku rozpływania się partii w narodzie działała też przemiana pokoleniowa, powiązana ze zmianą modelu działacza. Ta przemiana następowała we wszystkich państwach komunistycznych stopniowo, acz nieraz była przyspieszana paroksyzmami (takimi, jak w ZSRR „Wielka Czystka", w Chinach „rewolucja kulturalna", w Polsce kampania „antyrewizjonistyczna" i „antysyjonistyczna" w 1968 r.). Dawni komuniści, związani z partią oraz, jak to mówiono, ze „sprawą komunizmu" przez całe życie, wywodzący się z przedwojennego ruchu komunistycznego, zahartowani latami więzień oraz stażem w ZSRR, wierzący w komunizm niezależnie od własnych, nieraz ciężkich losów, przekonani o potrzebie doprowadzenia narodu do komunistycznego szczęścia, a więc o konieczności przeciwstawienia się narodowi jako lepiej wiedzący gdzie leży to szczęście, stopniowo ustępo-

wali miejsca nowemu pokoleniu działaczy. Nowi aktywiści nie mieli w sobie wiele z bojowników, zaś pod każdym względem, także w stylu myślenia, byli znacznie bliżsi bądź wręcz bliscy przeciętnym narodowym. Niewiele myśleli o Marksie i Leninie, „przyjaźń polsko-radziecką" traktowali bardziej jako wymóg geopolityki niż jako ideał itd. Myśleli o własnym przyjemnym bytowaniu, a często, jak niejedna osoba w społeczeństwie, nie lubili Sowietów i Żydów, w ogóle „innych". Niejeden z członków tej elity wolałby jeździć na stypendia do USA niż do ZSRR. Niektórzy zresztą jeździli do USA, zaś Stany Zjednoczone najpewniej świadomie prowadziły w tym zakresie politykę rozmiękczającą komunizm. W sumie temu nowemu pokoleniu bardziej zależało na dobrach życiowych niż na obronie komunizmu.

Dodatkowo osłabiały partię wewnętrzne spory pomiędzy różnymi tendencjami i koteriami. Z grubsza biorąc, toczyły się one pomiędzy „twardogłowymi" a zwolennikami reform bądź przynajmniej ludźmi przytomniejszymi w aparacie partyjnym. Były one możliwe dzięki zmniejszeniu się terroru w Polsce po 1956 r. Działał jednak też pewien czynnik strukturalny: duża, a jednocześnie monopolistyczna partia musiała stawać się polem gry różnych tendencji, które w demokratycznym ustroju znalazłyby wyraz w różnych partiach. W sumie partia ta była mocna dzięki oparciu w strukturze państwowej oraz istnieniu ZSRR za miedzą, ale wewnętrznie była słaba. Rządził w niej aparat partyjny, który z kolei miał oparcie w siłach policyjnych i wojsku. On też w znacznej mierze miał nastawienie zachowawcze — paradoksalnie ze strachu przed ludźmi[1]. Skądinąd takie nastawienie było korzystne dla zwalczania innych frakcji w ramach walk partyjnych w kierownictwie — jako wzbudzające zaufanie Moskwy i gwarantujące zachowanie dogmatów w tym parareligijnym systemie.

Słabość partii jako całości zaznaczyła się w każdym z kryzysów, jakie miały miejsce w powojennej Polsce[2]. Była ona też jedną z istotnych przyczyn, dla których gen. Jaruzelski wyprowadził wojsko na ulice w grudniu 1981 r. Partii komunistycznej już chyba nie dałby rady uruchomić w obronie ustroju. Ona się ostatecznie rozsypała. Wojsko, jako jedna z niewielu insty-

[1] Por. opinię Jana Szczepańskiego, zapisaną w jego dzienniku pod datą 11 lipca 1968 r.: „Wydaje się, że w partii komunistycznej dyskusja jest niemożliwa. Kierownictwo i grupy sprawujące władzę mają takie poczucie stałego zagrożenia, że każda wypowiedź profesora, literata, nawet przemówienia studentów urastają w ich przerażonych oczach do rozmiarów spisku, opozycji, słowem, groźnej potęgi" (J. Szczepański, *Dzienniki z lat 1945–1968*, opr., wstępem i przypisami opatrzył D. Kadłubiec, Ustroń 2013, s. 405).

[2] Por. Jan Szczepański w kontekście kryzysu 1956 r.: „Cała ta grupa rządząca zdaje się nie pamiętać, że w Poznaniu wystarczyło, aby robotnicy wyszli z fabryk, a władza ludowa w mieście rozwiała się jak dym" (J. Szczepański, *op. cit*., s. 393; notatka pod datą 12 kwietnia 1968 r.).

tucji jeszcze sterowalnych, miało nie tylko zapanować nad zbuntowanymi ludźmi; miało też przypomnieć dotychczasowej elicie partii/państwa, że winna funkcjonować zgodnie ze swoją misją. Za każdym kierownikiem państwowej instytucji (a niepaństwowych przecież prawie nie było) miał stanąć komisarz wojskowy ze swoimi instrukcjami.

Powiedzenie, że komunizm upadł na skutek społecznej eksplozji jest tylko częściowo prawdą. To była w wielkim stopniu implozja. Wszędzie nastąpiła poniekąd implozja komunizmu, a nikt nie przewidział, że w Moskwie przyczyni się do niej (świadomie lub nie) sam sekretarz generalny KPZR. Komunizm ostatecznie znikomo się bronił; co najwyżej bronili swojego miejsca aparatczycy — jak w Rumunii (Chiny są w tej sprawie nieporównywalne). Niech wprowadzenie stanu wojennego w Polsce w 1981 r. nie myli. To już było działanie zupełnie innej natury niż typowo komunistyczne. Nie podjęto go w imię obrony komunizmu, lecz — jak komunistyczna elita sobie wyobrażała — w imię zabezpieczenia kraju przed bezhołowiem i Moskwą, oraz, co nie najmniej ważne, w imię zachowania własnego bezpieczeństwa i władzy (własnych stołków) przez komunistyczny aparat.

Co istotne, w miarę biegu lat władza komunistyczna coraz bardziej degenerowała się. Dla zapewne głębokich przyczyn rekrutowano do aparatu partyjnego/państwowego oraz awansowano ludzi z roku na rok gorszych intelektualnie oraz dbających przede wszystkim o osobisty interes. Z jednej strony miało to pewne dobre skutki; z dwojga złego lepiej było mieć do czynienia z miernotami niż ze zideologizowanymi maniakami. Z drugiej strony aparat władzy działał coraz słabiej. Wręcz czynił trudne do wytłumaczenia posunięcia, które były w gruncie rzeczy wbijaniem piłki do własnej bramki. Tak było z motywowanym politycznie zdjęciem z afisza sztuki Adama Mickiewicza, uważanej za jedną z najważniejszych dla repertuaru narodowego („Dziady") w 1968 r. Dokonanym na innym polu samobójczym posunięciem było zadekretowanie potężnych podwyżek cen artykułów spożywczych na krótko przed świętami Bożego Narodzenia 1970 r. Działo się to w raczej biednej, przynajmniej wówczas Polsce, gdzie tradycyjnie dużo się przecież je z okazji owych świąt. Powiedzmy, że można sobie wyobrazić władzę uderzającą w symbole narodowe przy zapewnieniu społeczeństwu niezłego bytu i, ewentualnie, odwrotnie. Atakować narodowe imponderabilia i jednocześnie obniżać poziom bytu społeczeństwa może jedynie władza zmierzająca do samobójstwa.

W zreferowanej strukturze zorganizowania społeczeństwa istniały dwa bardzo ważne wyłomy: indywidualne chłopstwo oraz Kościół katolicki. Władze komunistyczne tolerowały je najpewniej ze względów pragmatycznych, czyli dając prymat życiu nad ideologią. Chłopów w Polsce nie udało się zorganizować w kołchozy. Władze dopuściły, by te, które powstały (najczę-

ściej odgórnie powołane do życia) rozwiązały się w 1956 r. Mimo wyrażanych *explicite* lub *implicite* nacisków ZSRR na niezgodność stanu rzeczy w Polsce z „przodującą" ideologią, polskie władze komunistyczne nie ustąpiły w tej sprawie. Mydliły oczy ZSRR, organizowały jakieś instytucje, mające jakoby w przyszłości doprowadzić wieś do kolektywizacji, nie pozwalały chłopom swobodnie organizować się, ograniczały możliwości rozwoju prywatnych gospodarstw chłopskich — ale rolnictwo pozostało indywidualne. Brak kołchozu oznaczał zaś zmniejszony poziom panowania nad chłopami nie tylko w sferze ekonomicznej, ale także mentalnej. Miało to znaczenie tym większe, że w komunistycznej Polsce dokonała się wielka migracja ze wsi do miast.

Podobnie Kościół katolicki był w różnych dziedzinach prześladowany. Nawet w czasach, gdy ustrój komunistyczny był najłagodniejszy, czyniono mu rozliczne wstręty — ale zawsze pozostał potężną, niezależną organizacją. Parokrotnie wręcz zdarzyło się, że władze komunistyczne w obliczu własnych kłopotów oczekiwały od Kościoła zrozumienia i pomocy w potrzebie. Zważywszy na stopień dominacji katolicyzmu w Polsce, nawet jeśli nieraz katolicyzmu bardzo powierzchownego, siła Kościoła stanowiła ogromną niekonsekwencję w ustroju. Na dodatek Kościół to przecież nie tylko nabożeństwa, ale wiele organizacji i form aktywności prowadzonych na obrzeżach świątyń. Wokół niego organizowało się zatem alternatywne życie publiczne. Nawet jeśli nieraz ci sami ludzie uczestniczyli w systemie (co najmniej dlatego, że trudno nie uczestniczyć w systemie wszechogarniającym) oraz — w innych godzinach — w życiu kościelnym *sensu largo*, to trudno przecenić istnienie takiej alternatywnej platformy organizacji społeczeństwa. Stała się ona fundamentalnie ważna po 1978 r., gdy kardynał-arcybiskup Krakowa został papieżem jako Jan Paweł II.

Nie najmniej istotnym narzędziem zdominowania społeczeństwa przez komunistów był bezpośredni przymus i terror. Trzeba wszakże zwrócić uwagę, że w Polsce jego najostrzejsza faza skończyła się w 1956 r. Oczywiście, potem też występowało mnóstwo niesprawiedliwości, zamykania w więzieniach, wręcz wypadki mordowania ludzi. Były strzały do manifestantów w 1970 r. i do górników strajkujących w kopalni „Wujek" w 1981 r. Przy zachowaniu jak najdalej idącego szacunku wobec ofiar i wobec ludzi cierpiących trzeba jednak stwierdzić, że wszystkie te działania były nieporównywalne w swoich rozmiarach i natężeniu z terrorem czasów stalinowskich. Z biegiem lat istotnie zmniejszył się poziom społecznego strachu. Dziś, gdy czyta się listy ludzi z tego okresu — czy to prywatne, czy kierowane do instytucji oficjalnych — zdumiewa, jak swobodnie bywały pisane. Pomijając momenty wyraźnych kryzysów, kiedy władzom zdarzało się działać na ślepo dla wywołania przerażenia, na ogół można było już żyć — jeśli nie wkładało się „palca między drzwi".

Cały mechanizm policyjny działał bez zasadniczych zmian, zaś archiwa danych i donosów przyrastały także po 1956 r. Nie były to już jednak czasy rozstrzeliwań i deportacji na Syberię. Jeśli ktoś nie naraził się świadomie lub nie miał szczególnego pecha, mógł raczej spokojnie funkcjonować. Prawda, że władzom sprzyjało żywe w społeczeństwie wspomnienie strachu z lat 1944/45–1956. Charakterystyczne, że siłą napędową ruchu kontestacyjnego rodzącego się po 1976 r., w tym strajków 1980 r. i „Solidarności", byli ludzie młodzi, którzy nie zaznali już stalinizmu i chyba nie zdawali sobie sprawy ani z tego na co się porywają, ani z osobistego niebezpieczeństwa.

Opisywany umiarkowany przymus lub/i terror miał jednak konsekwencje wielorakie. Z jednej strony, ludzie łatwiej akceptowali ustrój — nie tylko z braku innego, ale także dlatego, że *summa summarum* był znośny. Z drugiej strony, taki terror zmniejszał strach i budził złość. Znakomitym przykładem referowanej dwoistości były zajścia w Radomiu w 1976 r. Wybuchły one w odpowiedzi na zapowiedzianą podwyżkę cen artykułów spożywczych (trzeba pamiętać, że mówimy o gospodarce, w której większość cen była stanowiona przez odpowiednie agendy państwowe!). Do manifestantów nie strzelano. Policja potraktowała ich jednak bardzo źle, a nawet upokarzająco (to też ważne!). Wieczorem zaś tego samego dnia rząd ogłosił wycofanie się z podwyżek. W następnych dniach władze zorganizowały z kolei we wszystkich wielkich miastach masowe wiece krytyki wobec manifestantów z Radomia, przedstawiając ich jako pospolitych chuliganów. Wielu ludzi wyciągnęło z tego przesłanie, że władza, nawet powstrzymująca się od strzelania, jest okropna — co i tak wielu wiedziało — ale nie jest niewzruszona; można coś na niej wymóc.

Dominacja nad społeczeństwem to dominacja nad funkcjonującymi w nim treściami. Ich kontroli służyła cenzura, oddziaływanie na szeroko pojętą edukację, wydawnictwa i prasę oraz izolacja kraju od zagranicy. Cenzura działała do ostatniej chwili istnienia systemu. Podlegało jej dosłownie wszystko w zakresie słowa drukowanego (nawet nalepki na marmoladę!), także w zakresie słowa nadawanego przez radio i telewizję, również w przestrzeni sztuki i muzyki. Stopniowo następowała wszakże ewolucja cenzury, w swoim czasie niezbyt zresztą dostrzegana przez ludzi. Z ideologicznej cenzura stawała się w coraz większym stopniu polityczna — a to była wielka zmiana. Cenzura stawała się raczej sitem nieprzepuszczającym pewnych treści niepożądanych przez władze, zwłaszcza z punktu widzenia stosunków z ZSRR niż mechanizmem promowania treści pożądanych. Na dodatek działała z różnym natężeniem i z humorami, których żadną miarą nie można było zrozumieć. Ten brak konsekwencji tyleż złościł, ile ośmielał, sugerował przeczekanie, lekkie retusze przy pozostawieniu zasadniczej treści.

Szkolnictwo wyższe i badania naukowe z okresu PRL-u miały oczywiście swoje wady — ale nawet w humanistyce podawano lepsze treści niż w niejednym kraju obozu sowieckiego. Moje pokolenie miało w lekturach teksty zachodnie, książki zachodnie były tłumaczone w Polsce. Oczywiście nie wszystkie, niektóre publikowano ze skandalicznymi wykreśleniami fragmentów — ale nasi sąsiedzi za wschodnią granicą nieraz wręcz uczyli się polskiego, by poznawać po polsku treści u nich niedostępne.

Podobnie można scharakteryzować część prasy PRL-u. Z dzisiejszego punktu widzenia ona nie obroniłaby się, ale niejedna gazeta, mimo całej kontroli, odegrała niezłą rolę. Nadające po polsku rozgłośnie zachodnie w jakimś stopniu łamały komunistyczny monopol informacji — choć władze dokładały starań, by je zagłuszać oraz by w ogóle z nimi walczyć. W drugiej połowie lat 70. powstający „drugi obieg" wydawniczy (publikacje nielegalne i, tym samym, niecenzurowane) był tępiony, ale sam jego rozmiar świadczył, że władza niezbyt chce lub niezbyt może zastosować przeciw niemu środki, które stosowano przeciw swobodnemu myśleniu w czasach stalinowskich. Dla łamania izolacji ważne było istnienie emigracji polskiej na świecie — zarówno stworzonych przez nią instytucji, jak obecność na Zachodzie znajomych i rodzin Polaków żyjących w kraju. Poza okresem wyraźnie stalinowskim kontakty z emigrantami trwały.

Ważna z punktu widzenia konsekwencji dla podminowania dyktatury była kwestia stopnia izolacji kraju od Zachodu. W latach stalinowskich kontakt z krajami kapitalistycznymi był oczywiście radykalnie zminimalizowany. Nawet w instrukcjach dla polskich dyplomatów pojawiał się wtedy wątek, by planować pójścia pracowników placówek do fryzjera tak, ażeby udawali się we dwóch. Z chodzeniem do dentysty sprawa przedstawiała się już gorzej, gdyż ból zęba było trudniej zaplanować (sic!). Natomiast po 1956 r. coraz więcej Polaków zaczęło jeździć na Zachód. Wyjazdy zawsze były oczywiście kontrolowane, nadzorowane, poza wyjątkami wydawano paszporty jednorazowe na określony wyjazd — ale mnóstwo ludzi jeździło, w tym także pracownicy szkolnictwa wyższego i twórcy kultury. Po 1956 r. Polska nie była już ściśle izolowana od Zachodu. Wywoływało to skutki dwoiste: z jednej strony dla ustroju wygodne (dawało się żyć!) — a z drugiej rozbudzało poczucie frustracji, że u nas nie jest tak dobrze jak na Zachodzie. Zachód, który dla wielu Polaków zawsze był punktem odniesienia, tym bardziej stawał się obiektem zazdrości.

Dwoiście z punktu widzenia siły reżimu działała jego nieewolucyjność i znikoma innowacyjność, niemożność dostosowywania się do choćby spontanicznie następujących zmian społeczeństwa. Było to paradoksalne. Nominalnie komunizm wszędzie, także w Polsce, był nosicielem projektu modernizacyjnego. W propagandzie kładł nacisk na zacofanie Polski mię-

dzywojennej, z którego nowy ustrój miał kraj wyprowadzić. Tymczasem w Polsce komunizm naśladował wersję projektu modernizacyjnego z ZSRR, gdzie od dawna był on przestarzały. W bardzo wielu sprawach ustrój komunistyczny był konserwatywny, nie szukał nowości, wręcz je odrzucał, a nawet gdy chciał np. wprowadzić nową wersję historiografii, to wprowadzał wersję metodologicznie konserwatywną, choć z wygodnymi dla siebie treściami. Nawet policja polityczna została (na szczęście dla nas!) wyposażona w komputery później i gorzej niż np. STASI w NRD, która to NRD nie była przecież championem modernizacji.

Wszechogarniające planowanie w praktyce hamowało kreatywność ludzi oraz innowacyjność, w sumie ewolucję. W ogóle religiopodobny charakter ustroju wzmacniał nieewolucyjność; mnóstwo rozwiązań było zakodowanych jak dogmaty. Partyjno-państwowe kierownictwo praktycznie wszystkiego, zwłaszcza gospodarki, w połączeniu z wszechogarniającym, dyrektywnym planowaniem, hamowało inicjatywę ludzi. W żadnej dziedzinie myślenie akceptowane przez ustrój nie było rewolucyjne — poczynając od mody, a kończąc na rozwiązaniach stosowanych w przemyśle. Ponieważ jednak komunizm przedstawiał się jako ustrój modernizujący, w wielu sprawach ludzie, broniąc swego, stawali się tym bardziej konserwatywni (*vide* rozkwit praktyk religijnych; siła wątków bardzo tradycyjnych w Kościele katolickim w Polsce; przetrwanie wielu wątków myślowych, gdzie indziej od dawna zdyskredytowanych). Jednocześnie, ponieważ ludzie widzieli, że we wszystkim zostajemy w tyle, tym bardziej imponowały im niektóre nowoczesne rozwiązania Zachodu w sprawach mniejszych i większych.

Podstawowa konstrukcja systemu była monolitycznie niezmienna aż do jego upadku. Jednocześnie odbywała się niejako podskórna zmiana, która była ogromnie istotna, choć nie naruszała imponderabiliów. Była ona już wyżej wspominana, zwłaszcza w kontekście destalinizacji 1956 r., oraz zmniejszenia uogólnionego strachu. Ludzie mało ją doceniali, gdyż ewolucję ku lepszemu mniej się docenia niż trwanie złego — ale Polska Gierka (czyli Polska lat 70. XX w.) bardzo się różniła od czasów Bieruta (czyli od Polski lat 50. XX w.).

Skutki zarówno małej ewolucji podstaw, jak pewnej ewolucji w sprawach dotykających życia ludzi, były dwoiste z punktu widzenia systemu. Brak ewolucyjności i przyjmowania bardziej współczesnych rozwiązań podminowuje każdy system — więc podminował również ten. Świadomość małej ewolucyjności zapewne wywoływała poczucie fatalizmu, zwłaszcza u starszych ludzi, mających swoje doświadczenie. Z drugiej strony, zachodząca jednak ewolucja ośmielała ludzi, a parokrotne wycofywanie się systemu z obietnic głębszej reformy, składanych po każdym kryzysie, umacniało przekonanie, że jest to system niereformowalny — a zatem przeświadczenie, że nie warto z nim

rozmawiać, że zasługuje on jedynie na obalenie (jeśli tylko da się go obalić!). Dodatkowo panowało przekonanie, że system kłamie. Jednym z ważniejszych haseł zrywu lat 1980-1981 było hasło „życia w prawdzie", w jakiejś formie częste zresztą w procesach rewolucyjnych, na ogół traktowanych jako oczyszczenie wszystkiego i wszystkich. W tym samym kierunku działała świadomość braku reformowalności innych krajów komunistycznych, usztywnionych przez ZSRR (Węgry były wyjątkiem, gdyż tam elita komunistyczna odczuwała potrzebę poprawy sytuacji po represjach 1956 r.).

Co najważniejsze, nawet jeśli system był niewzruszony w głębokiej konstrukcji, to w warstwach bardziej powierzchniowych nie był na tyle mocny, by nie dopuścić do wspomnianych parokrotnych kryzysów (1956, 1968, 1970, 1976, 1980-1981). Tu każde kolejne pokolenie miało kontakt z poprzednim, które widziało dawniejszy kryzys systemu, a potem było samo świadkami sytuacji, gdy „król był nagi". Co więcej, w trakcie kryzysów sam system przyznawał się do wad i przyrzekał poprawę, których to obietnic później nie realizował. Był to mechanizm klasycznie prowadzący ze strony systemu do samozagłady — tym bardziej że system aspirował do legitymacji ideologicznej lub/i narodowej, a nie czysto pragmatycznej. Z różnych powodów obnażenie się mogło nieść dla niego groźniejsze konsekwencje niż „tylko" brak sprawnego działania dla dobra ludzi.

Komunizm odwoływał się do treści historycznych ogólnoludzkich oraz narodowych z akcentem patriotycznym. Cały zamysł Marksa był w końcu wyprowadzony z historii. Marksowska koncepcja dziejów nie miała nic wspólnego z wizją, jaką tradycyjnie żywiono w Polsce i przez większość ludzi nie została tu przyjęta, niezależnie od stopnia swojej słuszności lub fałszu. Natomiast akcent patriotyczny komunistów, nasilający się z czasem i nieraz przybierający wręcz ton szowinistyczny, brzmiał fałszywie — skoro Sowieci wymordowali polską elitę w Katyniu (1940), a zarówno oni, jak polskie władze komunistyczne uparcie kłamały na ten temat praktycznie do końca; skoro mówiono jak najgorzej o Powstaniu Warszawskim 1944 r. oraz o wielkim, pozakomunistycznym ruchu antyhitlerowskim, jakim była Armia Krajowa. Patriotyczny ton władz komunistycznych brzmiał fałszywie, skoro wyciszano zbrodnie komunistyczne, także wobec polskich patriotów, popełniane od 1944/45 r. Wątek przekłamywania historii przez komunistów stał się z czasem jednym z podstawowych wątków delegitymizacyjnych w ustach przeciwników ich władzy. Niektórzy Polacy w ogóle widzieli w komunistycznej władzy władzę rosyjską lub/i żydowską — co w pierwszym wypadku było wygodnym uproszczeniem, a w drugim bezsensem wynikającym z pewnych stereotypów myślenia — ale ani jedno, ani drugie nie obracało się na korzyść systemu.

Co nie najmniej ważne, wypada zapytać, czy komunizm ludziom coś dawał. W końcu nigdy nie dzieje się tak, by ustrój nikomu nie przynosił korzyści. Żaden ustrój nie jest zbudowany jedynie na sile. Otóż komunizm chyba stwarzał warunki państwa opiekuńczego — nieraz złudne, nieraz na bardzo niskim poziomie — ale jednak opiekuńczego. Bezrobocia raczej nie było. Istniała bezpłatna opieka lekarska, mieszkania były tanie, szkolnictwo na różnych poziomach bezpłatne. W dużym stopniu były to złudzenia. Bezrobocie, zwłaszcza odcinkowe, zdarzało się, a strach przed brakiem pracy okresowo pojawiał się. Opieka medyczna funkcjonowała źle. O mieszkania było bardzo trudno, system ich rozdzielnictwa pozostawiał wiele do życzenia, a z czasem przestawały być tanie. Dostanie się na studia było wyczynem, studentów było mało, zaś na wielu kierunkach, mimo wysiłków, nie zdemokratyzowano ich składu społecznego.

Jest bardzo dyskusyjną i wymagającą głębszych badań sprawą w jakim stopniu ustrój komunistyczny ułatwił awans społeczny warstw niżej usytuowanych w hierarchii społecznej, w których imieniu nominalnie działał. Są to badania trudne technicznie (nawet na deklaracjach przynależności społecznej, zamieszczanych w ankietach personalnych w miejscach pracy czy na uczelniach, niezbyt można polegać). Refleksja jest jednak również trudna intelektualnie. Czy przeniesienie się mnóstwa ludzi z ubogiej wsi do miast, gdzie podjęli pracę marnie płatną i w marnych warunkach, było awansem społecznym? Co jeszcze ważniejsze: w jakim stopniu ruchy ludzi na drabinie hierarchii społecznej zostały wywołane przez ustrój komunistyczny, a w jakim przez potrzeby powojennej odbudowy i powstanie wolnych miejsc na choćby nieco wyższych szczeblach hierarchii społecznej, w wyniku strat ludzkich na skutek wojny, w tym na skutek wymordowania ludności żydowskiej?

Ostrożnie można jednak skonstatować, że pewien awans ludności ubogiej nastąpił za komunizmu — aczkolwiek pozostaje pytanie jak był on duży i jak dużą część ludności objął. Osobną sprawą byłoby stwierdzenie, w jakim stopniu ów awans był deprecjonowany stosunkami w pracy, upadkiem jej etosu i w ogóle raczej pomiataniem godnością robotników, wręcz postponowaniem robotników, którzy byli klasą wiodącą jedynie w teorii.

Niestety, najefektywniejszy awans następował, jak się zdaje, poprzez kanały aparatu partii, państwa, różnorakich służb policyjnych, także wojska. Ten mechanizm stworzył bardzo liczną grupę ludzi, która zresztą nie tylko skorzystała na awansie, ale też nieźle żyła w komunizmie. Uprzywilejowane były też grupy z pewnych powodów ważne dla komunizmu: znani intelektualiści oraz naukowcy, także grupy robotnicze mające znaczenie strategiczne dla ustroju.

Osobnym zagadnieniem jest kwestia awansu społecznego kobiet, na co ustrój kładł wielki nacisk. Wyjście kobiet z domu w pewnym stopniu najpewniej nastąpiło, aczkolwiek mogło to być dyktowane przemianami cywilizacyjnymi bardziej niż ustrojowymi. Przy ogólnie ciężkich warunkach życia i trwającym patriarchalnym wzorcu rodziny najczęściej oznaczało to podwójną pracę dla kobiety — w domu i w miejscu zatrudnienia. Zachód poszedł daleko dalej w ułatwieniu życia kobietom przez różne domowe urządzenia techniczne, łatwość zakupów i pojawienie się produktów ułatwiających prowadzenie gospodarstwa domowego. ZSRR też chyba poszedł w tym zakresie dalej, co tam było w dużym stopniu przyspieszone najpierw przez pójście mężczyzn do wojska, a potem przez straty wojenne — ale tamtejszy proces uaktywnienia zawodowego kobiet miał, jak się zdaje, cechy jeszcze bardziej dyskusyjne niż w Polsce. Nadto, czy to w Polsce, czy w ZSRR, miejsce kobiet na wsi pozostało mało zmienione, a przecież procent ludności wiejskiej pozostawał we wschodniej Europie znacznie większy niż w rozwiniętych krajach Zachodu. We władzach partii/państwa prawie nie było kobiet.

Specyficznym problemem z punktu widzenia awansu była otwartość/zamkniętość perspektyw przed młodzieżą. Teoretycznie system stawiał na młodość. Młodzi ludzie na plakatach patrzeli radośnie w przyszłość. Nie jest wykluczone, że organizacje młodzieżowe otwierały przed częścią młodzieży drogę awansu w biurokratycznej strukturze partyjno-państwowej. Wielkie budowy socjalizmu może rodziły entuzjazm realny, a nie tylko plakatowy, u niektórych młodych ludzi. Wszędzie jednak na Zachodzie młodzi ludzie wcześniej dochodzili do pozycji odpowiedzialnych i decyzyjnych, a ustrój komunistyczny był potężnie gerontokratyczny. Może nie wszędzie tak gerontokratyczny jak w komunistycznych Chinach, ale także w Polsce nawet skład kierownictw organizacji młodzieżowych miał paradoksalnie wysoką średnią wieku.

Jest również dyskusyjne, co ustrój proponował ludziom w sensie poziomu życia lub/i dóbr materialnych. Oczywiście, przez lata było w Polsce biednie. Nie każda bieda wywołuje jednak sprzeciw wobec ustroju; to zależy jeszcze od punktu odniesienia. Przez lata Zachód był oczywiście punktem odniesienia dla Polaków — ale był to raczej wyobrażony punkt odniesienia. Gdy po 1956 r., a zwłaszcza po 1970 r., komuniści dopuścili liczniejsze wyjazdy za granicę, nawet zaś rozbudowywana państwowa telewizja musiała choć w jakimś stopniu pokazywać świat, to porównanie z bogactwem Zachodu chyba rzeczywiście stało się buntogenne.

Trudności z zaopatrzeniem zatruwały wszystkim życie. Jeżeli jednak nie przekraczały one pewnego krytycznego poziomu, to energia ludzi kierowała się raczej na zdobywanie towarów, zwłaszcza spożywczych, niż na myślenie przeciw ustrojowi. Energia szła w zdobywanie potrzebnych produktów różnymi, często nieuczciwymi drogami. Polepszenie bytowych warunków ludzi

miało skutki ambiwalentne z punktu wygody rządzenia — bowiem zwalniało część myślenia na rozważanie pytania „dlaczego żyje się tak trudno?".

Najważniejsze z punktu widzenia korzyści życia w komunizmie bądź ich braku było jednak chyba to, że komunizm wprawdzie mało dawał, ale też mało wymagał. Popularne w Polsce powiedzonko mówiło: „Czy się stoi, czy się leży, tysiąc złotych się należy". Z czasem, wraz z postępującą inflacją, zaczęło się mówić „dwa tysiące się należy" — ale sens powiedzonka nie zmienił się przez to.

Prawdziwy problem dla komunizmu przyszedł, gdy istniejące kanały awansu dokumentnie się zatkały, gdy komunizm nie miał już co dawać, gdy na mieszkanie, z czasem już zresztą coraz droższe, trzeba było czekać w wielkich miastach niewyobrażalną liczbę lat i gdy zaopatrzenie pogorszyło się beznadziejnie. W pewnym sensie potwierdziła się wówczas teza Marksa, że baza determinuje nadbudowę. Zgodnie z filozofią Marksa, baza rozsadziła nadbudowę jako niedostosowaną (informacja dla niewtajemniczonych: baza i nadbudowa to terminy z marksistowskiej filozofii dziejów). Potwierdziła się też teza Marksa, skądinąd dyskusyjna w odniesieniu do całości dziejów, że ustrój społeczny tworzy siły, które z czasem go kwestionują. To w ramach projektu komunistycznego zbudowano w Polsce wielkie zakłady przemysłowe i relatywnie nieźle wykształcono młodych ludzi, a potem to młodzi robotnicy z wielkich zakładów pracy, czyli sól ziemi komunizmu, zakwestionowali go. Prawda, że taka sytuacja wystąpiła nie pierwszy raz w historii komunizmu. Udział młodych robotników wśród skazanych po powstaniu węgierskim 1956 r. był ogromny. Sprzeciw wobec komunizmu akurat ze strony robotników — i to młodych robotników — był klęską klęsk tego ustroju, sygnałem totalnego bankructwa. Komunizm potrafił wytrzymać opór każdego wroga zewnętrznego albo takiego, którego dawało się zdefiniować jako zewnętrzny. 10 mln członków „Solidarności", w znacznej części robotników, nie dawało się już zdefiniować jako zewnętrznych wrogów lub/i jako chuliganów.

W miarę narastania sygnalizowanych zjawisk ludzie sobie przypomnieli, uświadomili lub wyciągnęli wnioski z faktów, że ZSRR dominuje nad Polską, że komunizm wszędzie słabnie, że Zachód stał się bardzo bogaty, podczas gdy Polska pozostawała uboga, że stosunki w miejscach pracy są często złe, zaś nominalnie rządząca klasa robotnicza jest pomiatana przez aparat władzy. Uświadomili sobie, że represje komunistyczne nie są już tak straszne jak je zapamiętali starsi, że mają oparcie w Kościele katolickim i, zwłaszcza, w papieżu-Polaku, że ustrój komunistyczny nie proponuje nic poza bardzo ułomnym naśladownictwem Zachodu, że w Polsce samoorganizowano się i buntowano się w kolejnych pokoleniach, a więc można spróbować w kolejnym.

W sumie komunizm proponował nam wszak małego fiata jako szczyt szczęścia — ale do jego produkcji nie trzeba było aż „przodującego ustroju", podobnie jak nie był on potrzebny do propagowania treści narodowych. Wysłaniem w kosmos w 1978 r. polskiego kosmonauty (zresztą na radzieckim statku kosmicznym), co władze komunistyczne bardzo reklamowały, chyba mało kto się przejął. Trudno powiedzieć do jak wielu Polaków przemawiała ideologia komunistyczna, zwłaszcza we wczesnych fazach ustroju. W schyłkowej fazie trudno już było mówić o jakiejkolwiek ideologii, choć werniks marksizmu oczywiście pozostał.

Historyk Karol Modzelewski, jeden z najbardziej znanych polskich opozycjonistów przeciw komunizmowi, ważna postać w „Solidarności", w swoim niedawno opublikowanym pamiętniku odnotował wrażenie, jakie na nim robi dziś brak śladów myślenia koncepcyjnego partii komunistycznej w latach 1980–1981, gdy „Solidarność" zajęła tak ważne miejsce w życiu Polaków. Mówi o „programowej bierności PZPR, której miarodajne kręgi zachowywały się tak, jakby w ówczesnej dynamicznej i groźnej sytuacji nie sięgały wzrokiem poza dzień bieżący"[3]. Mówi o „programowej bezradności PZPR" po sierpniu 1980 r.[4] To, że partia nie myślała nad tym, co zaproponować zbuntowanemu narodowi, Modzelewski tłumaczy przekonaniem komunistycznej elity, iż poczyniła wobec „Solidarności" ustępstwa jedynie czasowe oraz nadzieją na odzyskanie panowania nad sytuacją. Tak oczywiście mogło być. Chyba jest to jednak prawda jedynie częściowa. Druga część prawdy była najpewniej taka, że partia po prostu nic już nie mogła wymyślić; nie miała żadnej wizji. Jej bankructwo ideologiczne poprzedziło bankructwo polityczne. Ten system nie miał już nic do zaproponowania, a jego skleroza była wzmocniona sklerozą Moskwy. W odróżnieniu od Moskwy nie miał jednak pod ręką nawet ideologii komunistyczno-mocarstwowej.

Pewna tradycja, w niektórych aspektach może bardziej wymodelowana niż realna, wskazywała ludziom drogę, stawała się podręcznikiem. Ruch 1980 r. często traktowano jako kolejne powstanie narodowe — szczęśliwie tym razem bezkrwawe.

Z socjologii wiadomo, że w sytuacji rewolucyjnej dla wybuchu konieczny jest jeszcze zapłon. Otóż tego dostarczyła polityka Edwarda Gierka (1970–1980). Zdecydowanie działał on w kierunku podwyższenia standardu życia ludzi, czynił skądinąd nieudolne kroki w kierunku modernizacji kraju, rozluźnił gorset policyjny, zwiększył możliwości wyjazdów zagranicznych. W kategoriach symbolicznych podkreślał naszą zależność od

[3] K. Modzelewski, *Zajeździmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*, Iskry, Warszawa 2013, s. 277.

[4] *Ibidem*.

ZSRR, wpisał do konstytucji przyjaźń z ZSRR i przewodnią rolę partii komunistycznej, ale zwiększał kontakty z Zachodem... i tak zadłużył kraj, aż przyszła katastrofa ekonomiczna. Z programu modernizacyjnego niewiele wyszło. Nawet jeśli początkowo dzięki temu programowi Gierek rozładował napięcia, to potem, gdy gospodarka się załamała, frustracja była tym szersza. W sumie Gierek rozbudził nadzieje, których nie spełnił, wręcz przeciwnie. Można to ująć tak: dano nam ciastko i zabrano je sprzed nosa. W konsekwencji w Polsce rozpoczęły się strajki lata 1980 r. Wtedy zadziałały wszystkie czynniki sygnalizowane wcześniej jako potencjalnie osłabiające komunistów, wpierw mało aktywne.

Szybkość, z jaką fala strajkowa ogarnęła kraj i szybkość powstawania związku zawodowego „Solidarność", rodzącego się w praktyce jako alternatywna reprezentacja narodu, zaświadczały jak bardzo komuniści byli już osłabieni, zaś stworzony przez nich ustrój przegrany. Bunt lat 80. XX w. akurat w Polsce wybuchł nie dlatego, że sytuacja tu była bardzo opresyjna, ale dlatego, że było tu relatywnie nieźle, zaś wolność zdawała się bardziej na wyciągnięcie ręki niż w innych krajach obozu.

Zmiany rozpoczęte w Polsce na fali destalinizacji w 1956 r. nigdy nie zostały tu całkowicie wyhamowane. W wielu innych krajach obozu ostry kurs komunistyczny utrzymywał się do końca. Warto pamiętać, że podczas gdy w Polsce przedstawiciele Kościoła katolickiego oficjalnie uczestniczyli w rokowaniach prowadzących do wyjścia z komunizmu (Okrągły Stół, 1989) przyszły kardynał i arcybiskup Pragi Miroslav Vlk mył okna sklepowe (może zresztą już wtedy pracował „aż" jako archiwista w jakimś banku?). Relatywnie łagodna sytuacja zresztą zapewne spowodowała, że w Polsce reakcja przeciw b. komunistom lub partii postkomunistycznej, także posunięcia prawne przeciw komunizmowi, okazały się z czasem znacznie słabsze niż w niejednym innym kraju niegdyś komunistycznym.

Ze słabnięcia ustroju oraz rozpowszechnionej frustracji, jaka wystąpiła na tle załamania sytuacji gospodarczej za Gierka, wyciągnęły wniosek dwie grupy społeczne — robotnicy (ta rzekoma sól ziemi komunizmu!) oraz intelektualiści. Ich sojusz został wsparty przez Kościół katolicki. Rola przerośniętej — jak często w krajach biednych — grupy intelektualistów w komunistycznej Polsce była typowa dla rejonów gospodarczo słabo rozwiniętych i mało zmodernizowanych. Ta inteligencja, niezła intelektualnie i zawodowo, od 1956 r. miała duże, mimo trwających ograniczeń, kontakty z Zachodem. Charakterystyczne dla zachowania się intelektualistów było znane także z wielu procesów rewolucyjnych zjawisko dezercji elit. Wielu intelektualistów uwierzyło na początku w projekt komunistyczny, mając niejeden powód do niezadowolenia z Polski międzywojennej. Z czasem liczni z tych właśnie początkowo wierzących

stali się odstępcami od komunizmu. Różnica z niejednym procesem rewolucyjnym znanym z krajów zacofanych była jednak taka, że w nich inteligencja na ogół łączyła się z chłopstwem lub ogólnie z „ludem", podczas gdy w rozpatrywanym wypadku w Polsce przemożną rolę odegrali robotnicy wielkoprzemysłowi. Z tego punktu widzenia największe podobieństwo polskiego buntu z krajami zacofanymi występuje w porównaniu do procesu rewolucyjnego, jaki miał miejsce w Boliwii w 1952 r. — gdzie zbuntowała się inteligencja (obejmująca w konkretnej sytuacji również sfrustrowane grupy oficerskie) oraz górnicy kopalń cyny. Mechanizm buntu realizował też zjawisko znane z wielu krajów zależnych: połączenie w proteście wątków emancypacji narodowej i pretensji społecznych, które to wątki wzajemnie się wzmacniały. Ludzie buntowali się w imię niezależności narodu, a jednocześnie w odczepieniu się od ZSRR (oraz ustroju definiowanego jako narzucony stamtąd) widzieli warunek polepszenia swojego bytu — i odwrotnie. Bunt, choć o ogromnym udziale wątków społecznych, był często postrzegany jako kolejny ruch w imię wyzwolenia narodowego, a zakodowana w głowach bardzo wielu Polaków wizja Polski zawsze walczącej o niepodległość (powstania końca XVIII i XIX w., Powstanie Warszawskie) sprzyjała jego podjęciu oraz przyjęciu właśnie takiej jego wykładni.

Bunt wyrastał także jako kontynuacja ruchów buntowniczych w Polsce za komunizmu. Z nich płynęło pewne doświadczenie organizacyjne, a potem, po wprowadzeniu stanu wojennego, z czasów okupacji hitlerowskiej płynęła tradycja konspirowania oraz wiele umiejętności w tym zakresie. W wypadku strajku w Stoczni Gdańskiej w 1980 r., fundamentalnego jako początek ruchu ogólnokrajowego, wielką rolę odegrało wspomnienie i tragiczne doświadczenie ruchu strajkowego 1970 r. Z niego — jak zresztą z całego doświadczenia oporu przeciw komunizmowi — wyniknęła taktyka strajkowania w zakładach, niewychodzenia na ulicę, organizowania się, unikania bezpośrednich starć, w których uzbrojone siły komunistyczne zawsze byłyby silniejsze.

Mechanizm buntu był wspomagany przez istnienie pewnej pułapki, jaką reżim komunistyczny zastawił sam na siebie. Mianowicie wszechwładza partii komunistycznej sprawiała, że najmniejszy ruch buntowniczy kierował się *de facto* przeciw władzy partii, *ergo* przeciw ustrojowi. W takim systemie nie mogło być strajku „tylko" przeciwko przedsiębiorstwu lub/i jego właścicielom. Właścicielem praktycznie każdego zakładu było komunistyczne państwo, a rządziła wszystkim i każdym zakładem z osobna partia komunistyczna. Łatwo pójść jeszcze dalej: ponieważ instytucje państwa w dużej mierze były modelowane na sowieckich, a ZSRR był gwarantem całego układu, więc każdy ruch choćby w perspektywicznym przedłużeniu kierował się przeciw Moskwie. Drugą pułapką było to, że system nie reagował na sygnały, wręcz wyciszał je. Jego elita niby interesowała się nastrojami

i tym, co myślą ludzie. W gruncie rzeczy uważała jednak ludzi za wartych słuchania jedynie instrumentalnie, a nie po to, by usłyszeć coś mądrego. Z dwóch nominalnych funkcji rządzących partii komunistycznych (partia wyraża / partia przewodzi) elity komunistyczne wybierały jedynie tę drugą funkcję (pierwsza jakoby wynikała z natury, jeżeli ktoś się przejmował takimi detalami ideologii). Lokalne źródła sygnałów (komitety partyjne, miejscowa administracja) obawiały się przesyłania wyższym szczeblom sygnałów niekorzystnych. Miały też tendencję do unikania w raportach uogólnień. Sygnały przesyłane przez policję polityczną były jeszcze fachowo najlepsze, choć i tu można mieć mnóstwo zastrzeżeń. W systemie było zakodowane, że jego elita i tak wie w jakim kierunku się posuwać. Badań opinii ten system polityczny nie znosił, dopuszczał je dopiero stopniowo po 1956 r. Prawda jest też taka, że nawet gdy system otrzymywał sygnały, bał się reagować. Wprowadzanie koniecznych podwyżek cen nieraz opóźniano z obawy przed reakcją ludzi, a gdy potem już nie było wyjścia, z konieczności wprowadzano je w wielkich rozmiarach, czyli jako jeszcze bardziej ryzykowne z punktu widzenia władz. Prawdziwym sygnałem dla systemu komunistycznego, wywołującym reakcję, było wyjście ludzi na ulice, a to nie mogło przecież następować często. Gdy zaś następowało, zawsze musiało przybierać wielką i dramatyczną skalę, jako zdarzające się rzadko, jedynie w wielkim napięciu — bowiem drobniejsze manifestacje nie mieściły się w systemie.

Można było zaobserwować w rozważanym ruchu ogólne prawidłowości ruchów rewolucyjnych. Pojawiał się entuzjazm, także przekonanie, że się uczestniczy w wydarzeniach rozpoczynających nową erę, przekonanie o szczęściu, którym trzeba obdarzyć inne ludy (konkretnie Europę Wschodnią zdominowaną przez ZSRR). Wybuch i przetrwanie buntu bez stłumienia go fundamentalnie zmieniały sytuację. Uzyskanie pewnych sukcesów (koncesji) pokazywało buntownikom dalsze cele jako możliwe do osiągnięcia, kolejny zdobyty punkt pozwalał na definiowanie następnych celów — nawet jeśli ta rewolucja miała cechy, jak to nazwano, „samoograniczającej się rewolucji" (z uwagi na obawę przed ZSRR). Wyzwoliły się liczne pretensje i odblokowały różne dotychczas stłumione konflikty, np. lokalne — zlewając się w potężną rzekę protestu. Miejscami pojawiało się przekonanie, że rewolucja zwyciężyła, a do jej pełnego zwycięstwa trzeba zrobić jeszcze tylko jeden krok. Pojawiał się też w ruchu rewolucyjnym nurt, który twierdził, że trzeba protest i osiągnięcia pogłębić — bowiem to, co osiągnięto, nie jest realizacją tego, o co naprawdę walczono. Nawiasem mówiąc, niektórzy politycy do dziś tak twierdzą w Polsce — nadal akcentując zarówno niezrealizowane lub źle zrealizowane postulaty społeczne (co

można zrozumieć), jak to, że Polska wciąż nie osiągnęła niepodległości, pozostając „kondominium" Rosji i Niemiec — co już trudniej zrozumieć.

Schyłkowy komunizm zareagował jeszcze jednym paroksyzmem obronnym, polegającym na wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. Był to jednak znak krańcowego bankructwa systemu, czego dowód stanowiło właśnie odwołanie się establishmentu do siły wojska. Wojsko nawet nie usiłowało udawać jakoby działało z ramienia partii komunistycznej. Koncepcja polityczna całego posunięcia przypominała zamachy generalskie w Ameryce Łacińskiej. Głoszono, że to narodowe, niezaangażowane politycznie wojsko obroni kraj przed rozpadem, odsunie ekstremistów, zapanowawszy zaś nad sytuacją, przeprowadzi niezbędne reformy, które pozwolą na radykalną poprawę egzystencji ludzi. W sumie był to plan „nowoczesnego zamordyzmu modernizacyjnego". Wątpliwe, czy taka strategia polityczna sprawdziła się w krajach Ameryki Łacińskiej; w Polsce w oczywisty sposób nie sprawdziła się. Miała tu jeszcze mniej szans, by się sprawdzić niż na drugiej półkuli. W komunistycznej Polsce wojsko nie mogło wystąpić jako ponadpartyjna siła, a zresztą granice między wojskiem oraz partią były zamazane (poczynając od drogi życiowej i funkcji zarazem partyjnych i wojskowych gen. Jaruzelskiego!). Wbrew stwierdzeniom generała o działaniu polskiego wojska na mocy polskich decyzji we wprowadzeniu stanu wojennego stosunkowo szeroko widziano działanie w interesie Moskwy. Wojskowa ekipa, wychowana w ramach komunizmu i partii komunistycznej, nie była w stanie przeprowadzić reform politycznych i gospodarczych. Bardzo istotna była polityczna klęska gen. Jaruzelskiego, który nawet argumentem, iż wybrał swoją drogę działania dla uprzedzenia wojskowej interwencji sowieckiej, nie doprowadził do zbliżenia komunistycznych władz z narodem.

Masowy ruch społeczny generał rzeczywiście trwale zdusił. Po grudniu 1981 r. przeciw ustrojowi działały już raczej elity. Inna sprawa, że działały w atmosferze szerokiej sympatii społecznej, tudzież rozległej niechęci do komunizmu, od czasu do czasu wyraźnie objawiającej się (*vide* wizyty papieża w Polsce w latach 1983 i 1987, manifestacje po morderstwie ks. Jerzego Popiełuszki w 1987 r.). Zduszenie masowego ruchu było zresztą o tyle łatwiejsze, że dla różnych przyczyn wytracał on pęd już trochę wcześniej, powiedzmy od marca 1981 r.

Swoim posunięciem generał Jaruzelski może powstrzymał rozwój wewnętrznego konfliktu, a z pewnością uspokoił Moskwę. Zapłacił jednak za to cenę widzenia swego działania przez wielu Polaków jako wojny z narodem. Potocznie mówiono zresztą o wprowadzeniu stanu wojennego i późniejszych działaniach wojska jako o „wojnie polsko-jaruzelskiej". Mimo że nie był to pierwszy bunt ludzi w Polsce komunistycznej, tym razem wielkość dystansu rządzącej elity oraz masy narodu była jakąś nową jakością i lu-

dzie tak to odczuli[5]. Nie dawało się już mówić o potrzebie dbania o wspólny — przy wszystkich różnicach — interes narodowy, polegający w sumie na zadbaniu, by Sowieci nie interweniowali (ta postawa była bardzo wyraźna zwłaszcza w kryzysie 1956 r.). Poza sprawami zasadniczymi przyczyniły się do tego okoliczności dodatkowe: powszechne oczekiwanie interwencji zbrojnej ZSRR na podobieństwo interwencji przeprowadzonych swego czasu w Czechosłowacji i na Węgrzech, a więc skojarzenie działania polskiego wojska z interwencją obcą; nazwanie posunięcia „stanem wojennym", a nie „stanem wyjątkowym" (w prawie komunistycznej Polski ten drugi nie był w ogóle przewidziany, więc nie użyto tej nazwy); także chociażby taki drobiazg, jak nazwa utworzonej przez wojskowych Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, która w skrócie kojarzyła się z potocznym nazywaniem przez Polaków jednego z elementów symboliki hitlerowskiej podczas niemieckiej okupacji („Wrona").

U schyłku lat 80. zaczęła znów rosnąć fala strajków, dokonywanych zresztą, co istotne oraz charakterystyczne, przez nowe grupy młodych robotników. ZSRR kierowany przez Michaiła Gorbaczowa przestał być dla polskich komunistów pewnym oparciem, choćby do wykorzystania w ostateczności. Stan gospodarki polskiej był gorszy niż fatalny. Od dawna nie był dobry (jeśli w ogóle kiedykolwiek był dobry!), a polityczne załamanie kierownictwa w gospodarce centralnie sterowanej i więzi kooperacyjnych pomiędzy zakładami tudzież brak dewiz w potężnie zadłużonym kraju na import, dopełniły klęski gospodarczej. Partia komunistyczna znajdowała się w rozsypce. W sytuacji bez wyjścia komuniści zdecydowali się oddać władzę w procedurze negocjacyjnej. Nie jest jasne, czy przewidywali oddanie władzy, jak ostatecznie się stało. Może liczyli na podzielenie się nią, w tym na oddanie części odpowiedzialności za naprawę gospodarki w ręce opozycji, przy zachowaniu własnej dominacji politycznej. Tak czy inaczej, najpewniej potraktowali przyjęte rozwiązanie jako mniejsze zło niż trwanie w sytuacji beznadziejnej. Nastąpiło zatem negocjowane wyjście z dyktatury, wyjście przez porozumienie elit, podobne do takich wyjść w niejednym kraju u schyłku XX w., może typowe dla współczesnej cywilizacji, która stworzyła sytuację, że żadna ze stron nie może zwyciężyć, ale każda może trwać w długotrwałym konflikcie. Na korzyść gen. Jaruzelskiego trzeba położyć uznanie opcji wyjścia z komunizmu i zapanowanie nad swoją kadrą, której opór może byłby perspektywicznie beznadziejny, ale wówczas to nie było jeszcze takie oczywiste. Nadto kadra mogła się jeszcze bronić, chociażby w obronie własnej, na co by jeszcze znalazła siły. Poparta przez generała procedura negocjowanego wyjścia z komu-

[5] Mirosława Marody na konferencji „Historiografia dziejów najnowszych w Polsce po 1989 r. Problemy — wyzwania — dylematy" (IPN Oddział w Lublinie, Zakład Metodologii Historii i Zakład Historii Najnowszej UMCS, 20–22 XI 2013).

nizmu oraz objęcie przezeń, z pomocą biorącej władzę opozycji, stanowiska prezydenta państwa (19 VII 1989 — 22 XII 1990) stworzyły dla odchodzącej elity pewną gwarancję bezpieczeństwa, a z czasem dostrzegła ona możliwości „miękkiego lądowania", których jej nie broniono. Od dawna komunistyczny aparat był zresztą lepszy w dbaniu o własne interesy niż w kierowaniu państwem, zwłaszcza w imię jakiejkolwiek ideologii. Dlatego zresztą relatywnie łatwo ustąpił. Fanatyk broni ideologii; od obrony własnego stołka można odstąpić, zwłaszcza gdy się zrozumie, że można się przesiąść na inny.

Zmiana ustroju została wynegocjowana pomiędzy elitami — komunistyczną i opozycyjną, obejmującą m.in. postacie wyrosłe jako autorytety z ruchu robotniczego. Nie można jednak powiedzieć, jak często mówi się dziś w Polsce, że to robotnicy i w ogóle Polacy pokonali komunizm. To była nie tylko eksplozja gniewu robotników oraz, szerzej, masy Polaków, zwłaszcza już nie wtedy. To była też implozja systemu komunistycznego w Polsce i znacznie szerzej. Robotnicy przyłożyli wszakże rękę do odtworzenia w Polsce kapitalizmu, atakując komunizm oraz, jako związek zawodowy „Solidarność", dając parasol podstawowym krokom przemiany — dokładnie wbrew historiozofii Marksa. Po upadku komunizmu nastąpiła sytuacja rzadko spotykana. Związek zawodowy, który był podstawową siłą robotników uderzających w komunizm, poparł rząd — pierwszy rząd niekomunistyczny. Ekipa związkowa bądź bliska Związkowi w znacznej części stała się ekipą kierowniczą państwa. Taka sytuacja i współpraca nasuwała na myśl peronizm. Różnica była wszakże jedna: Perón i jego rząd rozdawali co mieli robotnikom, zaś akurat wówczas w Argentynie było wiele do rozdania. W Polsce pierwszy rząd pokomunistyczny musiał zaciskać ludziom pasa — bo kraj przeżywał katastrofę ekonomiczną, a komunizm zostawił wyłącznie długi. Związek zawodowy, teoretycznie powołany do obrony robotników, dał jednak parasol ówczesnym reformom, likwidacji wielu zakładów pracy oraz ich prywatyzacji (w znacznym stopniu przez kapitał obcy). Dziś część opinii ma za złe ówczesnej elicie związkowo-państwowej, że nie osłoniła robotników. Niezależnie od dyskusji możliwości, jakie wówczas stały bądź nie stały przed decydentami, trzeba stwierdzić, że był to rzeczywiście wypadek, gdy rewolucja robotnicza doprowadziła do raczej dzikiego kapitalizmu. Paradoksalnie w tych warunkach potwierdziła się natomiast wizja Marksa o potencjalnej sile robotników w walce o sprawiedliwość. Protesty robotnicze w Polsce w latach 1956, 1970, 1976 i 1980–1981 rzeczywiście były jedną z bardzo istotnych sił przemiany. Czy robotnicy wywalczyli jednak sprawiedliwość? Przywrócony ustrój kapitalistyczny ma różne zalety i przewagi nad komunizmem istniejącym tu w latach 1944/45–1989, ale sprawiedliwość społeczna nie jest jego mocną stroną. Gdyby ktoś powie-

dział robotnikom strajkującym w Stoczni Gdańskiej w 1980 r., ile będzie w przyszłości kosztować mieszkanie w Warszawie, jakie powstaną w Polsce dysproporcje dochodowe i majątkowe oraz jak duże będzie okresowo bezrobocie, podczas gdy sama stocznia będzie raz zamykana jako nierentowna, a kiedy indziej znów będzie pracować na granicy bankructwa i bez pewności trwałego dalszego istnienia, to nie uwierzyliby w taki horoskop. Ponieważ wszystko to się zrealizowało, związki zawodowe stopniowo wróciły do swojej zwyczajnej roli lepszego lub gorszego obrońcy robotników. Nie ma już dominacji „Solidarności", a spośród istniejących wielu związków żaden nie przypomina frontu narodowego walczącego o wolność i niepodległość Polski. Żaden nie daje parasola ochronnego kolejnym rządom, żaden nie przypomina reprezentacji narodu, który swego czasu, dla szczególnych okoliczności w ogromnej części związał swój los ze związkiem „Solidarność". Dziś związek „Solidarność", grupujący nieporównanie mniej ludzi niż w czasach świetności, jest silnie rewindykacyjny, a politycznie pozostaje bliżej prawicy niż jakkolwiek rozumianej lewicy.